

Greg Marinovich & João Silva

BRACTWO BANG BANG

Migawki z ukrytej wojny

przełożył

Wojciech Jagielski

KRAKÓW 2012

PROLOG

Pisząc tę książkę, musieliśmy się zmierzyć z wieloma problemami. Ze swoimi mglistymi wspomnieniami, niechęcią, by wracać myślą do bolesnych czasów, z wątpliwościami czy potrafimy się uporać z tak złożonym problemem i opowiedzieć historię czterech ludzi, którzy, choć ze sobą związani, mieli tak odrębne i różne koleje losu i doświadczenia.

W końcu zdecydowaliśmy, że najlepiej opowiemy tę historię ustami tylko jednego narratora – Grega. Gdybyśmy jednak ze sobą nie współpracowali, ta książka nigdy by nie powstała. Pojedynczy człowiek nie widzi wystarczająco wiele, by złożyć się to na tak specyficzną opowieść. Zbieranie materiałów do książki i samo jej pisanie pomogło nam dowiedzieć się wiele o naszych przyjaciółach, o nas samych, a także o czasach, w jakich żyliśmy. Nie sposób dowiedzieć się wszystkiego, co naprawdę siedzi ludziom w głowach, nawet głowach ludzi nam najbliższych. Podjęliśmy jednak szczerzy wysiłek, by rozproszyć mgłę, która w tamtych bolesnych czasach osnuwała postacie naszych przyjaciół i nas samych.

Nigdy nie zamierzaliśmy stworzyć książki, która opowiadałaby o tamtych czasach. Ale kiedy zaczęliśmy ją w końcu pisać w roku 1997, przypominało to raczej odkrywczą podróż niż próbę drobiazgowego udokumentowania tego, co uważaliśmy już za raz na zawsze ustaloną prawdę. Mieliśmy dopiero odkryć, że pytania o to, co tak

naprawdę robiliśmy i jak byliśmy w stanie to wszystko znieść, były trudniejsze i bardziej złożone niż to, w jaki sposób szufladkowaliśmy je w swoich głowach. Z tamtych czasów pozostało w nas wiele goryczy i złości. I trudno mieć do nas o to pretensje. To część nas samych, a także kraju, w którym żyliśmy. Ale jest w nas i w nim także zdumiewająco wiele wspaniałego przebaczenia, wdzięczności i humanitaryzmu. Południowa Afryka, ta, którą znamy, jest właśnie taką mieszaniną emocji.

Bractwo Bang Bang, grupujące południowoafrykańskich foto-reporterów, zostało w znacznej mierze opisane w czasie zamieszek, które znaczyły schyłek porządków apartheidu. Jego nazwa obrazuje psychologiczny portret grupy ludzi żyjących na krawędzi, pracujących, bawiących się i spędzających ze sobą praktycznie cały czas. Postawmy sprawę jasno – nigdy czegoś takiego nie było, nigdy nie było takiego bractwa. I nigdy nie było też tak, że tylko my czterej byliśmy członkami tej swoistej sekty kultu światłoczułych. Było nas kilkunastu, którzy relacjonowaliśmy zamieszki trwające od uwolnienia Nelsona Mandeli z więzienia aż do pierwszych, w pełni wolnych wyborów.

Odkryliśmy, że jedną z rzeczy, która łączyła nas najbardziej, były wątpliwości dotyczące tego, co robiliśmy. Kiedy człowiek naciska spust migawki, a kiedy przestaje być fotografem? Odkryliśmy, że aparat fotograficzny nigdy nie był dla nas filtrem, za pomocą którego broniliśmy się przed tym, czego byliśmy świadkami i co fotografowaliśmy. Było dokładnie na odwrót – wydawało się nam, że sceny, które utrwalaliśmy na filmach, wypalały się także w naszych umysłach.

Mieliśmy też łączącą naszą czwórkę przyjaźń. Nie była to jednak przyjaźń w sensie dosłownym, lecz raczej indywidualne więzy, które czasami zachodziły na siebie. Mieliśmy też z pewnością jeden wspólny mianownik – wszyscy relacjonowaliśmy dramatyczne

wydarzenia z lat dziewięćdziesiątych, mając poczucie misji i historycznego znaczenia. Ale rozumiemy, że ktoś z zewnątrz ten nasz chwytny przydomek mógł potraktować dosłownie.

Przy pisaniu książki posłużyliśmy się wieloma określeniami charakterystycznymi wyłącznie dla Południowej Afryki. Niektórych użyliśmy w wersji angielskojęzycznej, innych – po afrykanersku, w którymś z dziewięciu języków afrykańskich obowiązujących w RPA, a także ze slangu townshipów, nazywanego tsotsitaal.

Niektóre z określeń wyjaśniamy w tekście książki, inne są oczywiste, ale na końcu książki można znaleźć również słowniczek, stworzony, by pomógł zrozumieć niektóre określenia i frazy, mające szczególne znaczenie wśród mieszkańców Południowej Afryki. Podobnie z kalendarzem wydarzeń historycznych, który, jak uznaliśmy, może się przydać w lepszym zrozumieniu tego, co się wydarzyło odkąd biali koloniści po raz pierwszy osiedlili się na południowym skraju Afryki.

1

MUR

Gdybym tylko mógł sięgnąć
Do zagrody, w której mieszka matka Śmierci
Och, córko
Zrobiłbym długą pochodnię z traw
Spaliłbym wszystko do cna, do cna...

Tradycyjna pieśń pogrzebowa ludu Acholi



Township Thokoza, Południowa Afryka, 18 kwietnia 1994

„Zdjęcia z tego nie będzie”, mruknąłem, patrząc przez wizjer aparatu na żołnierza metodycznie ostrzeliwującego hotel. Znów odwróciłem się w stronę przerażonych, niechętnych i źle wyszkolonych żołnierzy, szukających osłony pod murem tuż obok mnie. Spod krawędzi hełmów widać było ich rozbiegane spojrzenia. Chwilę później otrzymałem cios – potężny, obezwładniający – prosto w pierś. Gdzieś umknęła mi chwila, ułamek mojego życia, a potem zrozumiałem, że leżę na ziemi pod nogami innych fotografów. Ból przeszył mi lewą pierś i rozszedł się po całym ciele. I trwał, choć dawno przekroczył granice wszelkich wyobrażeń. „Kurwa! Dostałem, dostałem! Kurwa, kurwa, kurwa!”

Pośród wybuchających serii z broni maszynowej João i Jim desperacko próbowali zaciągnąć mnie pod mur, bliżej żołnierzy, poza linię ognia. Wtem przez kakofonię dźwięków przedarł się przerażony głos:

– Ken O dostał!

Próbowałem odwrócić głowę, z szyją oplecioną paskami aparatów fotograficznych. Kilka jardów na prawo, pośród zielska obrastającego mur zobaczyłem parę długich, chudych nóg, które niewątpliwie należały do Kena. Były zupełnie nieruchome, ułożone pod dziwnym kątem. Jim podbiegł do miejsca, gdzie Gary kurczowo obejmował Kena, doszukując się w nim oznak życia. Sporadyczne trzaski i grzechot karabinów maszynowych rozdzierały powietrze wokół gromadki dziennikarzy i żołnierzy próbujących wcisnąć się w mur.

Krew wyciekała z ziejącej pustką dziury w moim T-shircie. Zacisnąłem na niej rękę, żeby powstrzymać krwawienie. Byłem pewny, że w plecach mam śmiertelną, otwartą ranę w miejscu, gdzie wyszedł pocisk.

– Sprawdź ranę wylotową – poprosiłem João. Zignorował mnie.

– Nic ci nie będzie – odparł. Uznałem, że musi być źle, skoro nie chce spojrzeć, i jakbyśmy grali w kiepskim filmie, poprosiłem, żeby przekazał wiadomość mojej dziewczynie.

– Przekaż Heidi, że przepraszam... że ją kocham – powiedziałem.

– Sam jej powiedz! – burknął.

Nagle spłynął na mnie całkowity spokój. A więc stało się. Przyszedeł czas rozliczenia. Teraz odpokutuję za dziesiątki niebezpiecznych sytuacji, z których cudem uchodziłem z życiem, a ginął albo zostawał ranny ktoś inny. Ja opuszczałem scenę zamętu nawet nie draśnięty, ze zdjęciami w ręku, a moją winą było tylko to, że miałem więcej szczęścia od innych.

Jim wrócił, kuląc się pod ostrzałem.

– Ken nie żyje – wyszeptał tuż przy moim uchu. – Ale ty z tego wyjdiesz.

João usłyszał i zerwał się, żeby pobiec do Kena, ale ponieważ inni już się nim zajmowali, tylko podniósł aparat.

– Ken chciałby to potem zobaczyć – powiedział. Zirytował się, ponieważ włosy zasłaniały Kenowi twarz, psując zdjęcie. Sfotografował nas obu, swoich dwóch najlepszych przyjaciół. Mnie rozciągniętego na popękany asfalcie, ściskającego dłońią ranę. I Kena wnoszonego niezdarnie do pojazdu pancernego przez Gary'ego i jednego z żołnierzy, z głową zwisającą luźno jak u szmacianej lalki, z bezużytecznymi aparatami dyndającymi u szyi. W następnej kolejności do pojazdu załadowano mnie; Jim wziął mnie pod pachy, João pod kolana, ale jestem z natury potężny, a dzięki kulinarnym zdolnościom Heidi zyskałem jeszcze parę kilo.

– Człowieku, jesteś za gruby! – zażartował João.

– Mogę chodzić – zaprotestowałem i chciałem się rozeźmiać, ale wypadło to dziwnie słabo. Chciałem im przypomnieć, że aparaty też swoje ważą.

Po czterech długich latach, podczas których byliśmy obserwatorami walk, kule w końcu i nas zaczęły się imać. Aż do tej pory zabawa w bang bang uchodziła nam bezkarnie.

Tamtego ranka pracowaliśmy w bocznych ulicach i zaułkach Thokozy, zniszczonego przedmieścia będącego ziemią niczyją. Zналиśmy je – Ken Oosterbroek, Kevin Carter, João i ja – bardzo dobrze, od lat śledząc konfrontacje między policją, żołnierzami, współczesnymi wojownikami Zulu i młodzieżą z kałasznikowami, w czasach, gdy apartheid dobiegał krwawego końca.

Kevin nie było z nami podczas strzelaniny. Wyjechał z Thokozy, żeby porozmawiać z miejscowym dziennikarzem o nagrodzie Pulitzera, którą zdobył za szokujące zdjęcie z Sudanu – wygłodzonego

dziecka i sępa czekającego na jego śmierć. Kevin miał mieszane uczucia w kwestii wyjazdu. João radził mu, żeby został, bo choć chwilowo jest spokój, na pewno znowu zaczną się dziać. Ale Kevinowi podobała się rola świeżo upieczonego celebryty i pojechał mimo wszystko.

Przy lunchu w johannesburskiej restauracji relacjonował historie, w których o włos uniknął śmierci. Po deserze powiedział dziennikarzowi, że rano była w Thokozie strzelanina i musi wracać. Jadąc do townshipu, jakieś szesnaście kilometrów za Johannesburgiem, usłyszał w wiadomościach radiowych, że ja i Ken zostaliśmy postrzeleni i że Ken nie żyje. Pognął prosto do szpitala, do którego nas zabrano. Prawie nigdy nie nosił kamizelki kuloodpornej, jak zresztą my wszyscy – João odmówił wprost. Ale założył ją przy wjeździe do townshipu, jeszcze zanim dotarł do szpitala. Nagle poczuł strach.

Chłopcy nie byli już nietykalni. Zanim przybladły plamy krwi na asfalcie pod murem, jeszcze jeden z nas stracił życie.